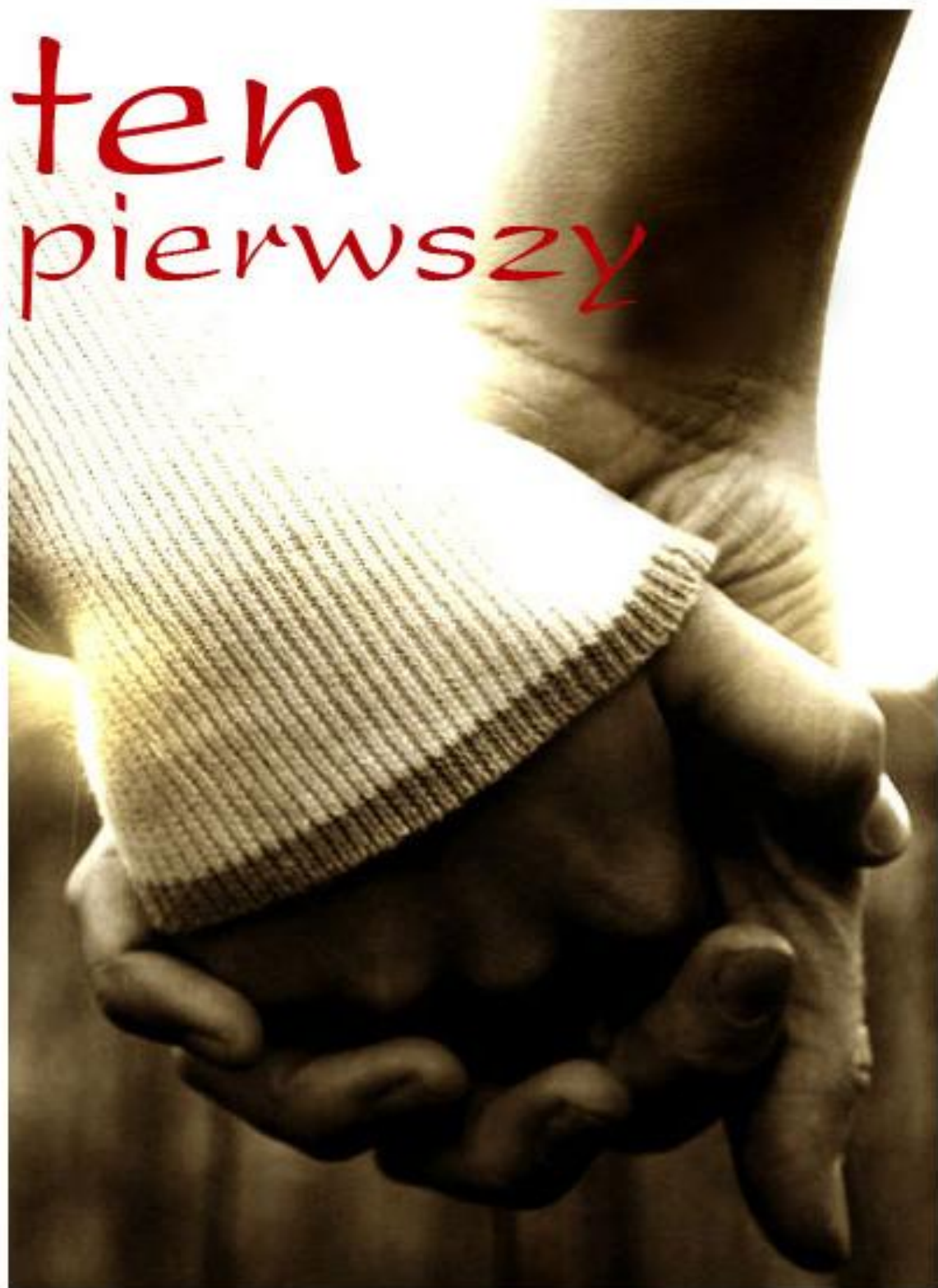


ten pierwszy



Antologia opowiadań
o miłości

TEN PIERWSZY

Antologia opowiadań o miłości

Copyright by Autorzy & e-bookowo 2009

ISBN 978-83-61184-28-7

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2009

www.e-bookowo.pl

[Kup książkę](#)

Spis treści

NA POCZĄTEK.....	6
MIŁOŚĆ NIEZNAJOMYCH	
ANITA SPARZYŃSKA.....	8
PIERWSZE FASCYNACJE PRZYRODNICZE	
ANDRZEJ JANCZEWSKI	9
NIE-RZECZYWISTY	
DUŚKA GACZOREK	10
GORĄCA LALA	
ALAN MISIEWICZ.....	11
BOKSER	
BARBARA SZOTA.....	12
BLOG OLI	
MONIKA LACH.....	13
ZŁY ZNAK	
MAŁGORZATA KULESZA.....	14
JESZCZE NIE WSZYSTKO STRACONE	
PAULINA EDYTA ŁAPIŃSKA	15
KIEDY BUDZI SIĘ GLADIATOR...	
ALINA MENDRAŁA	16
SEN, CZY KAWA...	
MAREK MANUSZEWSKI.....	17
ROZMOWA LIRYCZNA	
DAGMARA MINDA	18
DWA ŚWIATY	
AGATA SKOCZYŁAS.....	19
GDZIE TY, TAM JA	
ANETA SOTWIN	20
SIŁA MIŁOŚCI	
BOŻENA W. KLEKOWSKA.....	21

AUTOBUS

ALEKSANDRA BARYSZ – IMIOŁEK 22

MIŁOŚĆ BEZ SŁÓW

PIOTR PIENKOSZ 23

MIŁOŚĆ?

MARIA KUBIAK 24

MANDARYNKI

KARA_KARO 26

ZAPOMNIANE SŁOWA

ANNA PAZUREK..... 27

CHWILE SZCZĘŚCIA

TERESA CHMIELEWSKA..... 28

KIEDY PRZYMYKAM OCZY...

BOŻENA LABUS..... 30

IDEAŁ

ADAM KRYPCZYK 31

POKOCHAŁAM CIĘ WE FRANCJI

IZABELA NAWROTEK..... 33

KANADYJSKI SEN

ANETA RZEPKA..... 35

HISTORIA JEDNEJ MIŁOŚCI...

ANNA WALCZAK..... 37

NIKODEM

EWA JAROCKA..... 38

NAZYWAM SIĘ ANKA

MARCELA MUCHA 40

SINGLE. STARA MIŁOŚĆ NIE RDZEWIEJE. POWRÓT

T.T. TURMAN 41

EWA

MIROSŁAW SZNAJDER 43

KRÓTKA HISTORIA

BARTOSZ WICKOWSKI45

MIŁOŚĆ I KREW

KAROLINA CISOWSKA.....47

BAJKA O NIEJ

MARTYNA PUC50

CO MOŻNA ZOBACZYĆ W ŚRODKU?

KRZYSZTOF RAJDA.....51

CIOTKA ALBINA

DARIUSZ ECKERT53

OPOWIADANIE WIGILIJNE

PIOTR BULAK55

NIE TO, CO JA CHCĘ...

O. WOJCIECH KOBYLIŃSKI CMF.....57

NA POCZĄTEK...

W grudniu 2008 Wydawnictwo e-bookowo ogłosiło konkurs na opowiadanie o miłości. Warunek był tylko jeden – Autor musiał być przed debiutem. Celem konkursu było wyciągnięcie z szuflad wspomnień, marzeń, opowieści o tym najważniejszym z uczuć, a także danie młodym twórcom szansy na debiut. Niezmiernie trudno było dokonać wyboru spośród ponad sześćdziesięciu nadesłanych tekstów. Niektórym Autorom zaproponowaliśmy inne rozwiązania, ponieważ ich opowiadania tak bardzo się wyróżniały (w pozytywnym sensie), że teraz planujemy wydanie ich tekstów w odrębnym e-booku.

Nadeszło wiele utworów, których twórcy opisywali swoje prywatne przeżycia związane z zawodem miłosnym, nadziejami, pierwszym uczuciem. Z pewnością, dla nich opisy te stanowią wielką wartość emocjonalną. Nie zawsze jednak przemawiają one do czytelnika.

Opowiadanie ma swoje wymogi. Musi mieć początek, środek i koniec, jakiś określony temat, dobrze zarysowane postaci, wyraźny konflikt, a wreszcie akcję opartą na dialogach i wydarzeniach, które posuwają fabułę do przodu. Dlatego wybraliśmy te teksty, które spełniają te właśnie warunki. Są opowiadaniem, a nie tylko zwierzeniami, szkicami, wspomnieniami.

Nadesłane teksty zadziwiały swoją różnorodnością. Spośród nich wybraliśmy właśnie te, które można przeczytać w niniejszym zbiorze. Swoje premierowe wydanie antologia ma właśnie w Walentynki, najlepszy w roku dzień na myślenie o miłości.

Teksty wypełniające zbiór łączy jeden temat: ten pierwszy. Chodzi tu nie tylko o pierwszy raz, ale i pierwsze zakochanie, pierwszą miłosną fascynację, która głęboko zapada w pamięć i, niejednokrotnie decyduje o całym dalszym życiu. Ale to nie tylko historie złamanych serc, to także wspomnienia tego niezwykle ważnego momentu, w którym uświadamiamy sobie magiczny stan zakochania.

Opowiadania dotyczą różnych wersji miłości, tych szczęśliwych, mniej szczęśliwych oraz tych tragicznych, w których śmierć odgrywa główną rolę. Mamy tu trudne wybory, ostateczne rozwiązania, tęsknoty, nadzieje, a także zabawne sytuacje. Nowym wątkiem okazuje się też być rola nowych mediów na gruncie szukania drugiej połówki. Internet stanowi dziś potężne źródło poznawania nowych ludzi i dzielenia się swoimi doświadczeniami poprzez blogi, czaty czy portale randkowe. Za jego pomocą można poznać swoją drugą połówkę, zakochać się, ale i przeżyć bolesne rozczarowanie. Są tu teksty o pierwszych porywach serca, pierwszych zawodach i rozczarowaniach, pierwszym uczuciu i pierwszym cierpieniu z miłości. To także pierwszy raz, kiedy zostają opublikowane teksty wybranych do antologii autorów. Dlatego zdecydowaliśmy zatytułować antologię „Ten pierwszy”. I nie chodzi tu tylko o pierwszy raz...

Mamy tu zatem niemalże pełen przegląd miłosnych uniesień i upadków. Miłość nie zna granic i ograniczeń. Można się na nią natknąć wszędzie. Podczas zagranicznej podróży, spaceru, w koledze z pracy, w szkole, we wspomnieniach z młodości, czy zwyczajnie na ulicy.

Należy też zwrócić uwagę na fakt, że wszystkie teksty zawarte w antologii są autorstwa debiutantów, o których nic nie wiedzieliśmy. Pozwoliło to skupić się na samej lekturze bez uprzedzeń dotyczących na przykład wieku twórców.

Niektóre z tekstów to prawdziwe prozatorskie perełki. Ich twórcom już zaproponowaliśmy dalszą współpracę. Wielu z nich ma szansę wyrosnąć na znanych pisarzy. Ich opowiadania wyróżniały się oryginalnością i ciekawym podejściem do tematu, jakim jest miłość.

Kolejność zamieszczenia opowiadań w tomie nie jest przypadkowa. Wszystkie teksty tworzą razem pewną całość obejmującą wszystkie etapy zakochania.

Redaktor naczelna wydawnictwa e-bookowo

Katarzyna Krzan

MIŁOŚĆ NIEZNAJOMYCH ANITA SPARZYŃSKA

Co można jeszcze powiedzieć o miłości? Patrzę na swoje dłonie jak są jej puste. Powstaje tyle ckliwych filmów i książek na jej temat. Czy ona życzyłaby sobie, by tak ją traktowano? Niebo poszarzało, jak o tej porze roku. Bóg umarł- napisał Nietzsche. Ale wyście go zabili- dodał. Bóg jest miłością, powiedział mi kiedyś ksiądz. Nawet księżom nie można dzisiaj wierzyć na słowo.

Miłość jest trudniejsza niż nam się wydaje. Czasami z romantyzmem nie łączy jej nic, albo prawie nic. Czuję się pusta jak jakaś rurka PCV, która przyciąga trochę opiłków magnezu, nic więcej. Może nie jestem zdolna do miłości? Może nie ma takiego uczucia, które potrafiło by mnie całkowicie wypełnić...

PIERWSZE FASCYNACJE PRZYRODNICZE ANDRZEJ JANCZEWSKI

Zamiłowania przyrodnicze wykazywałem już od pierwszych lat szkolnych. Jest to dziedzina, w której moją uwagę przyciągały szczególnie osobniki żeńskie. A zwłaszcza niektóre z nich. Czasem nawet śniły mi się tak jakoś... Lubiłem te sny. Ale zawsze potem wydawało mi się, że katechetka na lekcji religii spogląda na mnie jeszcze bardziej srogim wzrokiem niż zwykle.

W ramach pielęgnacji tych zainteresowań, wybrane obiekty poddawałem różnym wyrafinowanym eksperymentom: zdarzało mi się na przerwie podstawić im nogę, wałnąć workiem na kapcie, czy wrzucić za kołnierz robala.

W końcu przyszedł czas na nieco bliższe kontakty. W piątej klasie umówiłem się więc na pierwszą w życiu randkę. Z Marzenką B. Oceniając to z dzisiejszej perspektywy, nie zachowałem się chyba wówczas najlepiej.

Poszliśmy do kina 1 Maj.

Było to nowe, olbrzymie kino na Podskarbińskiej, w sąsiedztwie skwerku Hanki Sawickiej. Prawdziwa świątynia sztuki – zwłaszcza w porównaniu ze ścianą starego domu przy rondzie Wiatraczna, na której jeszcze rok wcześniej, z wojskowej ciężarówki, wyświetlano kroniki filmowe.

Mieliśmy pecha, bo jedno z krzeseł – i to właśnie moje akurat – miało wyłamanie oparcie i w ogóle ledwo trzymało się kupy. Ale Marzenka stwierdziła, że to nic, że ona chętnie na nim usiadzie. No to ja, hm... no jednym słowem, zgodziłem się. Skoro nalegała...

NIE-RZECZYWISTY DUŚKA GACZOREK

Wskazówka termometru od pięciu dni tkwiła poniżej zera, a ja, jak gdyby nigdy nic, przedzierałam się w długiej, falbaniastej spódnicy przez leśną gęstwinię. Wszędzie wokół panował nastrojowy półmrok i chociaż wiedziałam, że ponad koronami drzew może świecić słońce, po moich plecach przebiegł dreszcz niepewności... A co, jeśli wcale nie chcę tego, co mi się wydaje, że chcę? Westchnęłam.

W powietrzu, potężną falą roznosił się cierpki zapach igliwia, lekko tłumiony przez grubą warstwę śniegu pokrywającą wszystko dookoła.

Uśmiechnęłam się czule. Nie myślałam o tym, dokąd dokładnie zmierzam, wiedziałam tylko, że gdziekolwiek pójdę, on prędzej czy później się tam pojawi. Nie mogłam się skupić, świadomość, że nawet tu, w lesie, praktycznie ze mną jest, powodowała, że oddychałam zdecydowanie za szybko. Dopiero po dłuższej chwili odważyłam się na niego jeszcze raz spojrzeć, był piękny – taki biały i roziskrzony... Jak w ogóle mogłam się wahać? Po raz kolejny westchnęłam głęboko i zamknęłam oczy. Otaczały mnie odgłosy leśnego życia, bawiły się mną, przenikały... Olejki uwalniające się ze świerkowych igieł delikatnie kołysały moje nerwy, czułam, że zaczynam oddychać coraz spokojniej. Gdzieś daleko za mną, ze strony, z której przyszłam, odezwały się basowe pomruki. Choć powinnam się bać, odprężyłam się jeszcze bardziej.

GORĄCA LALA ALAN MISIEWICZ

Zmieniłem koszulkę, umyłem zęby i oczy i przyszedłem na dworzec. Doczyściłem paznokcie, by był doczyszczony, bo nie był, ponieważ chował pod sobą niewielką odrobinę brudu. Brud niewielki pod paznokciem, wielkie zdenerwowanie we mnie; o, jeszcze tu brudny! Wkładam palec do ust i zmywam śliną, wymywam, roztapiam, wyganiam, nie wyjadam jakkolwiek, cokolwiek ciemny brudek spod paznokcia palca wskazującego prawej dłoni. O, teraz czysty. Ładny w ten sposób i jakieś dziecko chodzi niedaleko mnie. Czysty paznokieć to wizytówka, włos bez łupieżu to przepustka do sukcesu. I przystępuję z nogi na nogę, małe dreszcze chodzą mi po plecach, krzyczą, że randka już niebawem, że zaraz przyjedzie ona – Gorąca Lala z Internetu i będziemy mieli gorącą randkę. Gorąca Lala jest ideałem kobiety. Jest mądra, piękna, przystojna, ocytana, ma ładne włosy, lubi spacerować, zachody słońca, obierać ziemniaki, nigdy jej nie widziałem, ale pisała mi, że jest mądra, piękna, przystojna, ocytana, ma włosy ładne, lubi spacerować, zachody słońca, obierać ziemniaki. Czekam, aż przyjedzie, zaraz przyjedzie, co to za dziecko bezpiecznie porusza się w moim pobliżu, dziecko podchodzi do mnie nieuchronnie. Och, podekscytowanie we mnie wielkie jak krokodyl, bo zaraz przyjedzie moja Lala! Przystępuję z nogi na nogę. Dreszczyk. Dzidek pożyczył mi swój garnitur i powiedział, bym kupił dla niej jakiś kwiatek. Włożyłem garnitur dziadka – zaszyłem żółtawą plamę na garniturze od dziadka, skąd ta plama? – i zerwałem dwie łydgi mięty jako kwiatek. Gdy Gorąca Lala przyjedzie, wysiądzie z autobusu, dam jej kwiaty, bo dziadek powiedział, że prawdziwy dżentelmen to ten, który daje kwiatek swojej lalce. Ideał z Internetu, dam mu kwiatek – inaczej być nie może. Ideał to ideał, a dziecko krąży jak na karuzeli, zagląda tu, zagląda tam i pokrzykuje, smarka, kopie w kosz i zagląda, to dziewczynka, gdzie jej mama? Dziewczynka dostrzega mnie niespokojnego – a niespokojny jestem z tej przyczyny, że zaraz przyjedzie moja Lala – i spokojnym krokiem kroczy do mnie. Podchodzi, coś podśpiewuje, rusza się, ruch jest zdrowy, podłubuje w nosie, podchodzi do mnie.

BOKSER BARBARA SZOTA

– Zrobię właśnie tak! – postanowiłam.

– Więc? – Zapytałam raz jeszcze, z większym, niż poprzednio niedowierzaniem, nie wiedząc, dlaczego użyłam tego słowa, zamiast prostego: „Jak?”.

– No tak. Nie zrobię nic. Będę trwać w słodkim celibacie.

Wiem, że długo będę sama i nie mam tu na myśli odpoczynku po dziesięciomiesięcznym związku i nieudanym flircie z nim, wspaniałym, który miał być moją przepustką do cudownej monogamii bazującej na miłości i zaufaniu, zakłętej w partnerski model współzystencji.

Obawiam się. Boję się coraz bardziej, teraz szczególnie, gdy podniosłam długopis i żal płynie po kartkach, a nie robiłam tego długo.

Teraz, zagrzebana w kołdrę obawiam się znaczenia stawianych tu wyrazów. Gdy zaczęłam pisać raz ostatni, skończyło się to siedmiomiesięcznym zakochaniem, które, jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności nagle znikło i przeszło, najpierw w ciche szyderstwo, następnie w zwykłą sympatię banalnych znajomych, aż powróciło, kolejno od szyderstwa poczynając, aż do zakochania w sile gigantycznego, które już zostało i może na nowo przegnane zostanie.

– A co ty wiesz o uczuciach?

– Co ja wiem?! Jak ty w ogóle możesz tak mówić?! Co, sądzisz, że ja nie czuję?! Bo co, bo dowiedziałeś się o jakichś tam facetach i za co mnie teraz masz?! – Wylatywał ze mnie wściekły, zraniony potok bezskładnych i bardzo wzburzonych słów.

– Byłaś w ogóle kiedyś zakochana? – tu nastąpiła chwila ciszy, gdy zbierałam myśli, by się zawczasu nie pogрузić. Sumowałam i starałam się przewidzieć, jaką liczbę przełknę, zdecydowałam się finalnie na szczerość i powiedziałam to, co jak sądziłam, jest prawdą.

– Byłam. Chyba trzy razy. – mój głos wyraźnie stracił na gwałtowności.

– Aż trzy? To to chyba nie było prawdziwe. Jak można kochać trzy osoby?

BLOG OLI MONIKA LACH

Kolejny raz tego dnia myszka poleciała jej rzekomo mimochodem do pliku z napisem SER.

– Głodna jesteś mała – zwyczajowo szepnęła niby troszkę zła na sprzęt elektroniczny, niby zadowolona, że znowu może się oszukać słodko – blondynkowym: to nie ja, to ona.

Ale trudno brunetkom długo być blondynką.

Westchnęła.

– No dobrze, jeszcze tylko raz sobie popatrzę.

Myszka podstępnie otworzyła obraz GIF z napisem: NAJ.

– Mój naj. – Uśmiechnęła się do brodatego gościa spoglądającego na nią z ekranu zza swoich dużych okularów. – No tak – posmutniała. Zminimalizowała fotkę. Ustawiła w rogu ekranu. Ponownie otworzyła dokument programu Microsoft Word i zmniejszyła rozmiar okienka na taki, by z boku wciąż swobodnie podpatrywał ją ów Brodacz. Udawała, że go nie widzi, że nie ma dla niego czasu, ale musiała czuć, że to właśnie dla niego, a nie tak dla byle kogo, lub w ogóle czy nie daj boże generalnie nie ma tego czasu. Przecież musi go mieć. Ale nie widuje często NAJ nie dlatego, że napisał te wszystkie emeile o Nie, tylko dlatego, że nie ma czasu. Zwyczajnie dużo pracuje. Zdjęcie w rogu ekranu, to co innego, na to ma czas. Ma chwilę. Ma zamglone oczy, ma nawet pudełko chusteczek z supermarketu za jedyne 1,89 w wiecznej promocji. Ma, bo chce mieć, bo potrzebuje mieć, bo jakby jej ten cholerny dysk poszedł w siną dal i zabrał jej zdjęcie NAJ, to ...

– Matko jedyna, muszę to skopiować.

ZŁY ZNAK MAŁGORZATA KULESZA

- No mów, no mów! – Anka zaczynała się już niecierpliwić – No jak to było?!

- Oj, przestań. Nie poganiaj mnie – mruknęłam zniecierpliwiona. Z Anką zawsze tak było. Nie pozwoliła się człowiekowi skupić, tylko od razu zaczynała poganiać – Daj mi się skupić, myślisz że to tak łatwo..

- Oj, bo z Tobą to tak zawsze. Najpierw coś powiesz. Ja umieram z ciekawości a Ty wtedy wyskakujesz z tekstem: Daj mi się skupić, muszę dobrać słowa – zaczęła zrzędzić – Ech.

- Dobrze, tylko mi się nie obrażaj.

- No to jak to było?! – zapytała szybko. Pewnie żebym się przypadkiem nie rozmyśliła – Opowiadaj..

- Już dobrze. Było tak normalnie, jak zwykle... Wyszłam z mieszkania, zamknęłam drzwi i już miałam schodzić, kiedy przypomniałam sobie że nie wzięłam komórki.

- I ..?

- No nie przerywaj! I rada nierada, wyciągnęłam klucze z torebki i zaczęłam otwierać drzwi. I zwyczajnie weszłam do mieszkania. Ale zapomniałam przysiąc...

- I co? Znowu się wróciłaś żeby przysiąc? – wtrąciła się znowu Anka – Przecież to bez sensu.

- Nie, właśnie nie wróciłam, bo nie zwróciłam na to uwagi. Tylko szybko zamknęłam drzwi i zbiegłam po schodach. I jak wychodziłam z klatki, to wpadłam na Patryka. Po prostu mnie zatkało, kiedy go zobaczyłam.. Bo otworzyłam drzwi żeby wyjść, a on wtedy chciał wejść do środka.

JESZCZE NIE WSZYSTKO STRACONE PAULINA EDYTA ŁAPIŃSKA

Wszedł do swojego mieszkania jak co dzień wieczorem po pracy. Zdjął kurtkę i byle jak powiesił ją na haczyku w przedpokoju, po czym zdjął buty i wkopał je pod szafkę, żeby nie leżały na drodze do przedpokoju. Wszedł na chwilę do łazienki, odkręcił kran i nabrał wody w dłoń, po czym umył sobie w niej twarz. Był zmęczony – osiem godzin snu na dobę nadal było dla niego zbyt mało. Ciężko odzwyczaić się od swoich przyzwyczajzeń. Spojrzał na swoje odbicie w lustrze, na puste oczy, wyrażające niechęć, od dłuższego czasu już nie dostrzegające żadnych pozytywnych stron doczesnego życia.

Wyszedł z łazienki. Nie mógł dłużej na to patrzeć.

Zanim skręcił do pokoju, postanowił jeszcze wstąpić do kuchni po coś do picia.

Stał w drzwiach jak wryty, gdy zobaczył ją siedzącą na jednym z krzeseł, ze wzrokiem utkwionym prosto w nim. Słyszała dokładnie, jak wszedł do domu, jak odkręcił i zakręcił wodę w umywalce, jak nacisnął klamkę łazienki. Czekala na niego od trzech godzin, nieruchomo, nie wyjaśniając jego matce ani słowem, po co właściwie przyszła, co ją sprowadziło. Była ostatnią osobą jakiej się spodziewał. To, że nachodziła go Paulina, właściwie było normalne – i bardzo dobrze, że w końcu dała sobie z tym spokój – ale żeby ona? To coś zupełnie nowego.

Przełknął ślinę, ale ciągle miał nietęgą minę. Jeden z jej kącików ust drgnął, unosząc się do góry. Wiedziała, że zrobi mu swoją wizytą ogromną niespodziankę. Ciężko było się tu dostać, ale miała rozrysowaną czarnym piórem mapkę no i jakoś dojechała. Nie zastanawiała się, kiedy i jak uda jej się wrócić do domu – pewnie jednak zrobi to najbliższym autobusem rano. Jak dla niej, było to obojętne. Mogła przegadać z nim całą noc, gdyby chciał tylko mówić. A jeśli nie będzie chciał – posiedzi i poczeka dalej. W końcu robiła to już od trzech niemal godzin, co za różnica, kolejne sześć? Właściwie żadna.

KIEDY BUDZI SIĘ GLADIATOR... ALINA MENDRALA

*Tylko duch słaby, by wierzyć w sny swoje,
Musi je dłoni dotknięciem uderzyć...
Ja niemożności nieziszczalne roję,
Bowiem w to umiem wierzyć, w co chcę wierzyć!*

– *Odjazd w marzenie, Leopold Staff*

Za górami, za lasami, wśród urokliwych wzgórz, na peryferiach województwa podkarpackiego są miejsca, gdzie czas płata sobie psikusy. Takie tam niby niewinne żarciki dla zabawy, celem rozweselenia siebie. Głównie siebie, przecież nikogo innego nie bawi ten rodzaj swoistego poczucia humoru. Dla ludzi bywa zupełnie niezrozumiały a dla wybrańców, kosztem których rozgrywa się cały spektakl, wręcz niepojęty.

Podobno odwieczna machina czasu ma tak skonstruowane tryby, że w żaden sposób nie może się zatrzymać a tym bardziej zawrócić. Może za to omijać pewne obszary, kpiąc sobie z wszelkich praw. Może... Ta historia wydarzyła się naprawdę. Wcale nie sto lat temu, nie pięćdziesiąt nawet. Wydarzyła się właśnie teraz, właśnie dzisiaj

Kasia urodziła się w bogobojnej rodzinie w ominiętym przez czas miejscu. Surową strażniczką dekalogu była babcia i to ona narzucała kanony moralności dla wszystkich.

– Czcij ojca swego i matkę swoją! Oni wiedzą, co dla ciebie dobre. Nigdy nie waz się im przeciwzić! – grzmiała niczym z ambony, kiedy tylko zdarzyła się Kasi jakaś drobna niesubordynacja. Naprawdę drobna, bo przecież od urodzenia zabijano w niej systematycznie beztroską szczęśliwość dzieciństwa.

SEN, CZY KAWA... MAREK MANUSZEWSKI

Szef reklamy małego, lokalnego radia w równie małym miasteczku. Oto ja.

Tego dnia, a był on nad podziw piękny, tryskający świeżością zieleni, majowy dzień czułem się nad wyraz źle. Choć interesy radia kwitły, choć uważano mnie za jego lokomotywę, gubiłem siebie w merkantynalnym, prowincjonalnym świątku dorobkiewiczów raczkującego kapitalizmu. To rodziło poczucie pustki. Wyrwać gdzieś!

W ciszy biura dał się słyszeć delikatny stukot podnoszonej słuchawki. Wykręciłem numer:

– Kate, popołudnie i troszkę spędzimy razem. Zabieram Ciebie i GPZ–tę gdzieś tam. Oki?

– Chętnie z tobą wyrwę z moralnego smrodu naszego miasteczka – odpowiedział kobiecy, cichy, lekko zachrypiały głos, wydychający papierosowy dym.

Niedawno, pod wpływem impulsu kupiłem wiśniową Kawasaki GPZ–550. Też niedawno, ale troszkę dawniej poznałem rudowłosą malarkę o zielonych, pełnych przyjaznego oddania oczach. Zdobyłem specjalne względy tego strunnokształtnego dziewczęcia. Była ona wówczas radością mego życia, którą teraz pragnąłem sownie przyprowadzić motocyklem. Co gorsza, dziewczę ubierało się z gotycka w długie czarne suknie, koronkowe równie czarne koszule, czarny skórzany płaszcz i z beczelną pewnością siebie głosiło, że to jest właśnie odpowiedni strój na motocyklowe eskapady. Wśród zalet miała dwie istotne. Równie szybko jak we mnie, zakochała się w motocyklu.

*

ROZMOWA LIRYCZNA DAGMARA MINDA

– Czy to... przeznaczenie?

Olśniony, gorejący oddechem głos w trzewiach nocy, gdzieś na końcu świata czy może na jego początku, choć może bardziej gdzieś tam z tyłu, pod poszyciem, ale równie dobrze na szczycie wśród chmur; w każdym razie, głos gdzieś tu czy tam, ale bardziej z brzegu, a wokół ciemność absolutna i tylko drugi głos gdzieś tuż obok, przy uchu, przy skórze, taki mocny i chrapliwy, ale szeptem, szeptem, tak samo, jak ten pierwszy, szeptem z gatunku tych intymnych, upojnych, przeznaczonym tylko dla tej nocy, dla tego głosu obok, dla tych gwiazd i tego mroku gęstego, przytulnego, absolutnego. Tak właśnie ten jeden głos do tego drugiego drgnął, głoskami szarpanymi, niskimi, z głębi wydobytymi, że przeznaczenie; przeznaczenie to może, tak, na pewno, przeznaczenie, ty dla mnie, a ja dla ciebie, nie mogło być inaczej, tak idealnie jedno do drugiego i drugie do pierwszego, tak doskonale, w harmonii, w symbiozie niecierpliwej, to przeznaczenie, prawda?

– Przeznaczenie?

Głos drugi zaśmiał się krótko, niecierpliwie, ze szczyptą wzgardy i niesmaku, gorycz taka się zaperliła dźwiękiem ukrytym.

– Przecież nas nie stać na coś tak wyszukanego. Pomyśl, jesteśmy tylko gwiazdnymi okruchami, dwójką zabłąkanych dzieci, niknących w ogromie przepastnej gardzieli wszechświata...

DWA ŚWIATY AGATA SKOCZYŁAS

Po raz kolejny siedziała na brzegu wanny, gorącą wodą spryskując zziębnięte stopy. Ostatni zdarzało jej się to coraz częściej – kładła się do łóżka i godzinami nie mogła zasnąć z powodu zimnych jak lód stóp, których nie rozgrzewało nawet ciepło puchowej kołdry. Dopiero gorący prysznic przywracał im krążenie i zaróżowioną barwę.

Dziś stopy już dawno były rozgrzane, ale Renata wciąż lała strugi wody, wsłuchując się w odgłos ich stukotania o wannę. Analizowała go i zagłębiała się z nim coraz mocniej w świat swych – jakże bardzo rozbudowanych – myśli. Tak jak woda wciągana była przez odpływ w wannie, tak myśli Renaty coraz mocniej kłębiły się, wirowały i skupiały wokół jednego, konkretnego tematu.

Renata jako wiolonczelistka posiadała niezwykle bogatą duchowość. Jej świat wewnętrzny, świat uczuć i marzeń był ogromny, różnobarwny i nieprzewidywalny. Siła wyobraźni Renaty była tak wielka, że zdarzały się sytuacje, kiedy Renata sama nie wiedziała czy to, co właśnie przeżywa jest rzeczywistością, czy może jednak znajduje się w przestrzeni wyobrażonej, stworzonej przez nią samą.

Czasami, gdy zdawała sobie sprawę jak ogromnym jest kreatorem, jak rozległy i złożony jest jej wyimaginowany świat, ile ma zakamarków i przestrzeni, ogarną ją przejmujący strach. Strach raz przed Bogiem – że ona mała - ma odwagę stawiać siebie na równi z Nim, czyniąc się twórcą odrębnego świata, który choć niematerialny to jednak był równie wielko i niezgłębiony. Myśl ta nie była jedynym źródłem strachu. Renata, choć sama w sobie ten świat stworzyła, jednocześnie bała się go. Najgorsze było uczucie zagubienia, momenty kiedy sama nie wiedziała czy przeżywa sen czy jawę.

GDZIE TY, TAM JA ANETA SOTWIN

Ten wieczór... Niby jeden z wielu, ale tak naprawdę inny niż pozostałe. To właśnie tego dnia ujrzałam go po raz pierwszy. Tam wśród ogromnego tłumu i krzyków zobaczyłam ten uśmiech i zawirowało mi w głowie. Nigdy nie widziałam, by ktoś tak pięknie się uśmiechał. Jednak on mnie wcale nie zauważył, nie spojrzał nawet przez moment w moją stronę. Próbowałam ściągnąć jego uwagę na siebie, sprawić, by nasze oczy spotkały się ze sobą, choć na krótką chwilę, lecz nie udało mi się to. Było mi bardzo smutno i przykro. Czułam rozczarowanie, a jednocześnie żal, że nie zwrócił na mnie uwagi. Odniosłam wrażenie, że to właśnie on może być dla mnie kimś wyjątkowym. Czy wiesz, że zrobiłabym wtedy wszystko za jedno jego spojrzenie na mnie? Jednakże on był zbyt zajęty sobą i swoimi kolegami, by mnie spostrzec. Wyglądali się. Miał w sobie coś, co sprawiało, że wyróżniał się z tłumu. Kątem oka widziałam, że nie jestem jedyną, która nie potrafi się oprzeć jego urokowi. To było, jak za dotknięciem czarodziejskiej różyczki. Takie zakochanie za zawołanie...

Wiedziałam, że robię źle. Miałam już chłopaka. Nie chciałam Cię zranić, a jednak nie potrafiłam przed Tobą udawać. Byliśmy ze sobą na tyle długo, byś mógł mnie dobrze poznać. Już po pierwszym spotkaniu z nim czułeś, że się zmieniłam, stałam się zamyślona, nieobecna. Wtedy jeszcze o nic nie pytałeś, może myślałeś, że mi przejdzie. Dopiero, gdy tak bardzo nalegałam, abyś poszedł ze mną do tego klubu. Zdziwiło Cię to wielce. Do tej pory byłam raczej spokojna, wolałam grono przyjaciół, rodziny, niż głośne i zadymione bary. Na początku nie chciałeś się zgodzić, wykręcałeś się, że nie możesz, że coś musisz załatwić. Ale kiedy powiedziałam, że albo pójdę z Tobą, albo sama, dałeś za wygraną i w końcu się zgodziłeś. Nigdy w życiu nie pomyślałbyś pewnie, że to właśnie on stał się dla mnie kimś ważnym, może nawet ważniejszym od ciebie. Byliście znajomymi i to mnie najbardziej bolało. Mimo to zauroczyłam się, nie zważając na wszelkie przeszkody.

SIŁA MIŁOŚCI BOŻENA W. KLEKOWSKA

Byłam z Jackiem już od kilku lat i wydawało mi się, że to on będzie tym jedynym na całe życie. Jednak od pewnego czasu coś zaczęło się między nami psuć. Mieliliśmy coraz mniej czasu, coraz mniej cierpliwości i oddalaliśmy się od siebie z każdym dniem. Czyżby miłość wygasła? – pomyślałam pewnego wieczoru, jedząc sama spóźnioną kolację. Jacek, jak zwykle był w terenie, ja dopiero co wróciłam z pracy. Bezwiednie przestawiałam puste garnki w kuchni, by w chwilę potem usiąść przed telewizorem. I tak było od kilku tygodni. Jacek tłumaczył swą nieobecność interesami, ja miałam coraz większe wątpliwości. Bo czy okazałe konto w banku, dobry samochód i piękny apartament, o czym marzył mój jedyny, może zastąpić obecność kochanej osoby? Gdzie się podziały nasze wypadki po okolicy? Gdzie wspólne pasje? Gdzie w końcu zagubiliśmy się my dwoje? – pytałam samą siebie.

Zwykle o tej porze roku wyjeżdżaliśmy, aby fotografować stare dwory, pałace, zamki. Lubiliśmy to. Zwłaszcza jesienią. A jesień tego roku była nadzwyczajna. Pomyślałam, że spróbuję namówić Jacka na wyjazd. Sądziłam, że może coś się między nami obudzi, coś pocujemy... Zgodził się od razu, bez słowa.

Wyjechaliśmy rano, biorąc ze sobą torbę ze sprzętem fotograficznym. Po godzinie niespiesznej jazdy skręciliśmy z głównej drogi w prawo.

AUTOBUS ALEKSANDRA BARYSZ – IMIOŁEK

Nareszcie w domu – pomyślała Karolina, kiedy zdejmowała ciepłą, puchową kurtkę w ten zimowy, styczniowy dzień.

Usiadła na malutkim taboreciku w przedpokoju i zdjęła kozaki. Rozcierała bolące stopy. Dzisiejszy dzień był wyjątkowo pracowity, w ciągłym biegu i pośpiechu. Każdy miał jakieś pilne i ważne sprawy „na wczoraj”. Wsunęła obolałe kończyny w miękkie kapcie i z wielkim ociąganiem przeszła do dużego pokoju. Stała w drzwiach i popatrzyła na swoją mamę siedzącą w wielkim, wygodnym fotelu. Jak zwykle, o tej porze, oglądała któryś tam odcinek tasiemcowego serialu „Mody na sukces”. *Ciekawe, czy doszli już do pięciu tysięcy?*

– O! Już jesteś – powiedziała drobna kobieta z burzą siwych, króciutko ostrzyżonych włosów. – Idź do kuchni i weź sobie obiad, wszystko jest jeszcze ciepłe – nie czekała na reakcję córki, tylko ponownie zaczęła śledzić losy bohaterów ze szklanego ekranu.

Karolina uśmiechnęła się i machnęła przytakująco ręką, po czym odwróciła się i poszła do kuchni. Omiotła wzrokiem pozostawione garnki. Jak zwykle wszystko było starannie przygotowane, aby niepotrzebnie nie tracić czasu. Wystarczyło tylko nałożyć sobie porcję na talerz, usiąść i zjeść w ciszy i spokoju.

Dwie godziny później siedziała przed monitorem komputera i logowała się na portal z gram. Powinna się położyć i odpocząć, zregenerować trochę siły, aby później wyprasować trochę rzeczy ze sterty nagromadzonych ubrań. Jednak chęć porozmawiania z Maćkiem była tak wielka, że szybko odrzuciła tę myśl. Zanim zdążyła wejść do pokoju *3miasto* na grę *Mahjong Solitaire*, wesoło zamrugał pasek na GG.

MIŁOŚĆ BEZ SŁÓW PIOTR PIEŃKOSZ

By rozkwitnąć, miłość pokona wszelkie przeszkody

Miłość wszystko zwycięża i my ulegamy miłości

Wergiliusz

poeta rzymski (70–19 p. Chr.)

Aldi była zwykłą, osiemnastoletnią dziewczyną, a może należało powiedzieć raczej, że nie dziewczyną, a już kobietą. W końcu zdała właśnie maturę, a teraz oczekiwała na wyniki rekrutacji na studia. Złożyła dokumenty na medycynę, by w przyszłości zostać lekarzem zupełnie jak jej rodzice. Często zadawała sobie pytanie, czy rzeczywiście odczuwa powołanie, by leczyć ludzi? Taki, a nie inny kierunek na uczelni wybrała tylko dlatego, iż tak podpowiedzieli jej matka i ojciec. Sama zaś chyba jeszcze za bardzo nie wiedziała, jak poprowadzić swą życiową karierę.

Tymczasem w wakacje, wzorem koleżanek, Aldi postanowiła znaleźć pierwszą w życiu pracę. W rodzinnym Władysławowie znajome sprzedawały turystom smakowite gofry, pracowały w sklepie czy jako kelnerki podawały frytki gościom nadmorskich barów. Ona z kolei zdecydowała zatrudnić się w Ośrodku Przygotowań Olimpijskich w Cetniewie¹, urokliwej dzielnicy miasta. Praca sprzątaczką na tutejszej pływalni z pewnością nie zaspokajała jej ambicji, ale jednocześnie dawała jej satysfakcję z zarabiania pierwszych, własnych pieniędzy, dzięki którym mogła nieco odciążyć portfele rodziców.

¹ CETNIEWO – jedna z głównych dzielnic nadmorskiego Władysławowa. Tu ulokowany jest Centralny Ośrodek Przygotowań Olimpijskich założony w 1952 roku.

MIŁOŚĆ? MARIA KUBIAK

– Żartujesz?

– Nie, naprawdę! Jak ci przeszkadza, to wiesz, możemy zapomnieć o tej rozmowie.

– Nie... No coś ty! Jesteś moim najlepszym kumplem! Nie przeszkadza mi to.

Marek i Gosia siedzieli jeszcze długo w kawiarni, rozmawiając o tym i o tamtym. Gosia nie pytała o to, co wyznał jej Marek, najwyraźniej on też nie miał ochoty o tym rozpowiadać. Gosia była wysoką, jak na swoje siedemnaście lat, opaloną mulatką. Jej zielone oczy kłóciły się zarówno z pełnymi ustami, jak i ciemnymi włosami. Była szczupłą, ale nie chudą, raczej wysportowaną. Umiała podkreślić zarówno swoją sylwetkę, jak i swoją urodę... Marek natomiast był przystojnym blondynem z bródką, która dodawała mu tylko uroku. Jego błękitne oczy podkreślały zmysłowo długie rzęsy i pełne, nienaturalnie ciemne usta. Był dobrze zbudowany i umięśniony. Pięknie wyrzeźbioną sylwetkę zawdzięczał siłowni. Gosia dobrze mu się przyjrzała. Nie wyglądał na swoje dwadzieścia pięć lat, raczej na około trzydzieści. „Nie no... On sobie ze mnie żartuje, to niemożliwe, co mówi...” – to było ich pierwsze spotkanie, mimo że znali się już rok. Marek miał bardzo czasochłonną pracę, był programistą komputerowym i zarazem maniakiem gier RPG, stąd ten kolczyk w uchu i długie włosy. Często siedział po nocach i wykończył projekty na ostatnią chwilę, jednak czasami robił coś innego: grał... angażował się w to bezgranicznie. Nie był jednak uzależniony, to raczej była pasja, której poświęcał każdą wolną chwilę. O swojej pracy mówił niewiele: że pracuje jak pisarz, tylko wtedy, gdy ma ochotę. Gosia natomiast zajmowała się czymś innym. Była przecież uczennicą. Starła się o stypendium, chciała je przeznaczyć na rozwijanie swojej pasji. Za pieniądze, które by dostała mogłaby kupić tablet z prawdziwego zdarzenia. Zaoszczędziłaby wtedy czas, nie musiałaby skanować swoich rysunków i dodatkowo obrabiać ich komputerowo. Miała nadzieję, że jej marzenia w końcu się

spełnią. Nie chciała brać od rodziców, choć byli bogaci. Chciała być niezależna, a jej mama i tak nie pochwałała jej pasji. Chciała, żeby Gosia była genialną pianistką, ale ta nie miała do tego talentu. Jej nauczycielki wpadały w melancholię po pierwszych kilku lekcjach brzęczenia i nieskładnych uderzeniach w klawisze. Gosia uśmiechnęła się delikatnie do siebie. „Ślicznie się uśmiecha – pomyślał Marek – co mnie tak bardzo w niej pociąga??? Nie uroda, chociaż jest ładna... Nie wiem, naprawdę nie wiem, może jej dusza, albo jej tajemniczość...”

MANDARYNKI KARA_KARO

Przed wyjazdem spotkałam się z Łukaszem, aby się pożegnać. W końcu dwutygodniowa wyprawa do Indii to nie bagatela! Tak, właśnie tam wybierałam się na ferie zimowe. Cóż, zimy na pewno tam nie zastanę. Raczej czterdziestostopniowy upał. Trochę mnie to przeraża, szczerze mówiąc, a poza tym pierwszy raz w życiu polecę samolotem. Właściwie tego tak bardzo się nie boję, mama jest znacznie bardziej na nie. Katastrofom lotniczym przygląda się bardzo dociekliwie i za każdym razem, gdy wspominam o przyszłym locie, wydaje się nieco przestraszona i niezdecydowana, czy powinna mi jednak pozwolić czy nie.

– Mamo, nie zaczynaj znowu – zaczęłam dyplomatycznie. – Lot samolotem to powszechna rzecz. My jesteśmy nieco zacofani, ale inni ludzie podróżują w ten sposób niemal codziennie – dodałam sarkastycznie.

– Tak, a inni giną w katastrofach lotniczych – odburknęła.

– A ty znowu swoje! Uspokój się. Zaraz idę na spotkanie z Łukaszem. Chcę się z nim pożegnać.

– Dobrze, tylko ubierz rajstopy. Jest bardzo zimno! – krzyknęła za mną. Ale ja już poleciałam na górę po schodach, do swojego pokoju.

Rzuciłam się w kierunku szafy. Wybrałam zwykły sweter – i tak nie będzie widać go pod kurtką, rurki – tu poświęciłam więcej uwagi, zrobiłam lekki makijaż. Wiece, rzęsy, błyszczczyk, trochę pudru, te sprawy... Wzięłam torebkę i w tempie ekspresowym zbiegłam po schodach. Zawsze szykowałam się na łapu – capu, a to dlatego, że mój chłopak był także moim sąsiadem. Zabawne, prawda? Przyzwyczaiłam się więc, że zawsze zdążę, a jak nie to poczeka. Nic mu nie będzie.

– Mamo, wychodzę!

– Ubrałaś rajstopy?

– Nie, jasne, że nie – uśmiechnęłam się. – Przecież wiesz, jak ich nienawidzę.

ZAPOMNIANE SŁOWA ANNA PAZUREK

Usiadła na małym krześle, uporczywie wpatrując się w czubki swoich butów. Czuła jego spojrzenie. Wiedziała, że się na nią gapi. Nie wiedziała tylko czego tak naprawdę szuka? Zmarszczek, zaczątków siwych włosów, piętna tych wszystkich nie tak odległych nieprzyjemności czy podpuchniętych od płaczu powiek? Drażnił ją, ale nie miała odwagi by mu po prostu powiedzieć, żeby przestał. I tak by nie posłuchał... Znała go za dobrze. Nigdy nie słuchał, był zbyt niepokorny i buntowniczy.

Poczuła jak jej policzki zaczynają pokrywać się parzącym rumieńcem. I co niby było w tym tak dziwnego? Przecież się stresowała, przecież brakowało jej słów, przecież nie wiedziała i tak od czego zacząć... Wiedziała jednak, że jest za późno by się tak po prostu wycofać. W momencie kiedy zjawiała się w tym miejscu, nie było już odwrotu. Była skazana na konfrontację.

– Witaj – powiedział, a ton jego głosu przyprawił ją o bolesny dreszcz.

– Witaj – odpowiedziała najciszej jak tylko umiała.

Jak ona siebie samej nienawidziła za tą żalosną powłokę bepcłciowości, która ogarniała ją w jego obecności. Przecież umiała stawić mu czoła, do cholery! Czemu więc zawsze się wahała? Czemu on właśnie otulał ją tą dziwną otoczką swojej osobowości? Czemu on? Czemu tak natarczywie, czemu tak przenikliwie?

– Nie spojrzysz na mnie? – zapytał nagle, wyrywając ją z bezsensownej apatii. – Tak będziesz sobie siedzieć bez ruchu? Tylko po to tu przyszłaś?

Nikt nie umiał przyprzeć jej do muru bardziej i szybciej niż on. Jakie to ironiczne... Ona, ta która w codziennym życiu zawsze była drapieżnikiem i polowała na nierozważne ofiary własnych fobii, słabości i żądz, przy nim stawała się taką właśnie ofiarą. I było jej żal samej siebie. Nie mogła na to jednak nic poradzić.

– Co chcesz ukryć w swoim spojrzeniu? Wiesz, że i tak widziałem w twoich oczach prawie wszystko. Nie ma wiele co może mnie zaskoczyć...

CHWILE SZCZĘŚCIA TERESA CHMIELEWSKA

Ciepłe dłonie delikatnie dotykały jej kruchego ciała. Spokojne, posuwiste ruchy masowały obolały kręgosłup. Jeszcze jeden ucisk, jeszcze jeden okrężny ruch, potem szybkie uderzenia kantem dłoni po wychudzonych łopatkach, dotyk chłodnego prześcieradła i koniec.

– Dziękuję Mario. Pomóc ci zejść?

– Nie, poradzę sobie – odpowiedziała dziewczyna mozolnie zsuwając się z łóżka. Najpierw jedna noga, potem druga i już. Czując twarde oparcie pod stopami wsunęła je w kapcie, założyła szlafrok, wzięła kule do rąk i ciągnąc stopy po chłodnej posadzce powoli wyszła z gabinetu. Długi, nieskazitelnie czysty szpitalny korytarz przerażał ją. Od tyłu miesięcy w nim przebywała, że dokładnie tego nie pamięta.

– Muszę zapytać mamy, jak przyjdzie. Moja mama, kochana mama – cicho szepnęła.

Tylko ona jedna wierzyła, że wyjdzie z tego, że przeżyje. Mijały dni, tygodnie, a ona niezrażona diagnozą lekarzy o nikłych szansach wyjścia córki ze śpiączki przychodziła każdego dnia. Opowiadała o życiu, pogodzie, o tym, co ją spotkało złego, a co dobrego. Nigdy się nie skarżyła. Tylko raz, kiedy odszedł jej mąż nie mogła powstrzymać łez, które kapały na białą szpitalną pościel. Drobne ramiona drżały od płaczu, twarz ukryta w dłoniach i zupełny brak chęci do życia. Jedynie obawa, co stanie się z córką, gdy jej zabraknie powstrzymywała ją przed samobójstwem. Odwiedziny w szpitalu i praca pozwalały zapomnieć o pustce w domu. Jej kochana córeczka potrzebowała jej. Wierzyła, że nadejdzie taki dzień, że obudzi się ze śpiączki, powróci do normalnego życia. I po roku stał się cud! Maria obudziła się. To był szok nie tylko dla niej, ale i dla lekarzy, którzy nie dawali jej żadnych szans. Dziewczyna odzyskała świadomość. Rehabilitacja czyniła cuda. Maria odzyskiwała pamięć, a tydzień temu postawiła swoje pierwsze kroki. Jeszcze kilka tygodni i wróci do domu. Teraz wolno posuwała się stawiając ostrożnie kroki na zielonej wykładzinie. Liczyła mijane sale.

Numer jeden, trzy, pięć, siedem, dziewięć. Dziewiątka to jej sala. Ciężko usiadła na krześle przy oknie. Była jeszcze słaba, ale każdy nowy dzień, dodawał jej sił.

Za oknem listopadowy, szary, deszczowy dzień. Grube krople ciężko uderzały o szybę. Kropla goniła kroplę, a potem obie ginęły za futryną okienną. Dziewczyna oparła głowę na dłoni i zaczęła wspominać czas przed wypadkiem. Nie wszystko mogła sobie przypomnieć, lekarze mówili, że nie chce pamiętać niektórych wydarzeń, że potrzeba na to więcej czasu. Nie martwiło jej to, było jej z tym dobrze. Lubiła, gdy mama opowiadała zabawne historie, kiedy Maria była jeszcze mała.

KIEDY PRZYMYKAM OCZY... BOŻENA LABUS

Grudniowy mróz unosił się w powietrzu. Gdzieś leżały jeszcze resztki śniegu. Do końca roku pozostały zaledwie dwa dni. To zabrzmiało niczym wyrok. Ewa zimno wyminęła roześmiane twarze przechodniów. Rodziny, pary, grupki... Szczęśliwi i dumni spacerowali w światłach świątecznych wystaw.

Czuła się jak Atlas, dźwigający na plecach cały wszechświat. Dwie dziewczyny zatrzymały się przed sklepem z białymi sukniami i przyglądały im się zachwyconymi oczami.

Ludzie wkoło cieszyli się z nadchodzącego Sylwestra, snuli plany na najbliższą przyszłość. A ją przenikał lodowaty chłód. Uśmiechała się z przymusem, słuchając całej tej paplaniny.

Chwilami tylko, kiedy przymykała oczy czuła na szyi jego ciepły oddech. Właśnie stopiły się ostatnie sople na zielonym dachu ich domu. W porannym brzasku częściej śpiewały ptaki. Na odległych, górskich szczytach ciemno zieleniły się sosny.

Stała z twarzą przy oknie, a jego smukłe palce muskały jej drobne ucho. Wolno odwróciła głowę. Malował dotykiem jej usta i kontur nosa. Ciemna czupryna opadała na jego figlarne oczy.

– Mamo! Tato! Widziałam przebiśniegi, całe fioletowe i żółte! – Do pokoju wpadła sześćioletnia Zosia.

– Wiosna już blisko kochanie! – Ojciec zawirował z córką w ramionach. Jak niewiele potrzeba, aby uchwycić szczęście – przemknęło jej przez głowę, głaszcząc malucha, obracającego się w pokaźnym już brzuszku. – I pomyśleć, że gdyby nie staruszek na dworcu centralnym nadal szalałyby w niej wichry...

IDEAŁ ADAM KRYPCZYK

Świt. Szkoła. Zmierzch. Kolejny świt. Dwa dni weekendu. Znowu szkoła. Zmierzch. W pełni kontrolowałem każdy aspekt swego żywota i byłoby tak pewnie aż do śmierci gdyby w wieku szesnastu lat nie nawiedziła mnie ta straszliwa choroba. Sparaliżowała moje życie. Sprawiała, że wszystko straciło koloryt. Liczyła się tylko ona, a na imię miała Wiktoria. Nie było księżyca. Słońce również nas nie błogosławiło, ale walczyłem i wygrałem. Zdobyłem ją!

*

– Połóż się już, kochanie – rzekła czekająca na mnie w łóżku, żona. Mieliśmy dużą sypialnię i wspinały dom. Siedziałem teraz przy oknie i spoglądałem na piękny ogród.

– Jeszcze chwilą skarbie – odrzekłem z uśmiechem i dopiłem whisky. Pustą szklankę położyłem na stole. Kostka lodu nie zdążyła jeszcze stopnieć. Spojrzałem na ten kawałek zamrożonej wody i odpłynąłem do krainy wspomnień. Do przeszłego świata, który na zawsze pozostanie już taki sam...

*

Nie pamiętam dokładnie chwili, w której ją poznałem, ale ciągle widzę obraz tej niewinnej dziewczyny. Idealna? Nie. Pewnie nawet wtedy nie była aniołem, jakiego w niej stworzyłem, lecz nie miało to znaczenia.

– Jestem Wiktoria – uśmiechnęła się i podała mi dłoń. Już wiem, dlaczego bóg stworzył ludzi. Wielu zachwycało się błękitem morza i nieba, lecz wszystkie cuda natury bledły w konfrontacji z tymi małymi punktami, którymi spoglądała na świat. Widziałem w jej oczach niepewność, lekki strach. Była tu także jej przyjaciółka oraz moi koledzy – tyle pamiętam. Wtedy była dla mnie zaledwie piękną kobietą. Cieszyło mnie to spotkanie, choć z natury unikałem ludzi, woląc samotność. Spotkałem ją jeszcze kilka razy nim to nadeszło. Bałem się wtedy ogromu tego słowa. Serce biło jak szalone, a myśli nie potrafiły skupić się na czymkolwiek innym. Czasem każdy oddech przynosił

niewyobrażalne cierpienie. Musiałem jej o tym powiedzieć! Musieliśmy stworzyć idealną parę, której nic nie będzie w stanie zniszczyć. Spoglądałem teraz w lustro. Kilka pryszcz, obwisły podbródek, mocno podkrążone oczy – widok niezbyt zachęcający dla jakiegokolwiek kobiety. Zwiotczałe mięśnie również nie były w stanie zapewnić jej poczucia bezpieczeństwa. Pozostał jeszcze problem małomówności i nieśmiałości, ale głównie martwił mnie swój wygląd. Nie byłem godny dotykania jej wspaniałego ciała. Wewnętrzna wojna zakończyła się wraz z jej zgodą na wyjście do kina. Musiałem wykorzystać szansę. Wiktoria była metą w tym wyścigu po szczęście. Nie mogłem teraz zawieść. Miałem chorą obsesję na punkcie idealnego życia, które potrzebowało jej czystości i nieskalanego grzechem piękna. Rzeczywistość w tych czasach szybko pozbawiała dziewictwa, więc musiałem się śpieszyć by nie wyprzedził mnie jakiś opalony łysol w lśniącym maluchu. Miałem wtedy szesnaście lat. Ona była rok młodsza. Ubrałem swoje najlepsze dzinsy i bluzę jej ulubionego zespołu, którego nie słuchałem, ale musiałem czymś zrobić dobre pierwsze wrażenie. Te kilkadziesiąt złotych nic nie znaczyło w porównaniu do tego, co mogła mi ofiarować. Był dokładnie dwudziesty trzeci czerwca. Miałem być pod jej blokiem o godzinie szesnastej. Czekałem już dziesięć minut wcześniej.

POKOCHAŁAM CIĘ WE FRANCJI IZABELA NAWROTEK

Był cichy, chłodny wieczór. Rozpędzony autobus mknął po autostradzie. Magda leżała spokojnie, wtulona w twardy fotel, spoglądała w okno. Piękne obrazy migwały jej przed oczami. W szklanym ekranie turystycznego telewizora pojawiali się bohaterowie francuskiej komedii. Polski autobus mknął przez idealne autostrady Niemiec. W oddali można było dostrzec światła okolicznych, bogatych miast. Gdy tylko wszyscy zasnęli autobus zatrzymał się na stacji benzynowej. Pilot wycieczki zrobił wszystkim pobudkę. Zdenerwowana Magda, która dopiero co zdążyła zasnąć, wybiegła z autobusu i dygocąc z zimna udała się do pomieszczeń stacji. Po dziesięciu minutach ruszyli dalej. Dopiero teraz każdy mógł spokojnie zasnąć.

Magda nie mogła spać. Przykryta ciepłym swetrem myślała o przyszłości. Był lipiec, początek wakacji. We wrześniu rozpoczynała ostatni rok liceum. Zastanawiała się co zdawać na maturze, jakie przedmioty wybrać, z czego się podciągnąć. Poważnie myślała o przyszłości, nie planowała jednak związków. Nie miała chłopaka i nie zamierzała go mieć. Była śliczną zgrabną dziewczyną a mimo to była singlem. Planowała potem zdać na studia, coś w życiu osiągnąć a faceci niepotrzebnie komplikowali jej życie. Miała już plan na życie i skrupulatnie go realizowała. W końcu udało jej się troszkę zasnąć. O świcie obudziło ją francuskie radio, które włączył kierowca. Jego zmiennik spokojnie spał na siedzeniu obok, nie zważając na dobiegające go hałasy. Była już we Francji. Wyjrzała przez okno. Zobaczyła zielone pagórki, pomiędzy którymi stały białe, zgrabne domki.

– Zupełnie jak w bajce – pomyślała.

Po kilku godzinach autobus wjechał na stację benzynową. Cała grupa wyciągała swoje bagaże z bagażnika. Każdy ze swojej walizki wyciągał ciepły sweter lub polar. Ranek był przeraźliwie zimny. Zwariowany francuski klimat dawał swe znaki gromadce polskich turystów. Następnie wszyscy udali się do sklepu, gdzie zostały wykupione wszystkie miniaturki wieży Eiffla. Po kilku minutach autobus ruszył dalej.

Około południa dotarli do ośrodka dla pielgrzymów i turystów w La Merte pod Paryżem. Był to kilkupiętrowy budynek, otoczony parkiem, prowadzony przez polskie siostry zakonne Sercanki. Zmęczeni i niewyspani młodzi turyści udali się do swoich pokoi. Magda po rozpakowaniu bagażu podziwiała piękną dolinę Marny z okna swojego pokoju. Niedaleko było widać drogę prowadzącą w kierunku Szampanii i Eurodisneylandu. Nasycona cudnym widokiem zeszła na obiad. Wraz z nowo poznanymi znajomymi zasiadła przy długim stole.

I nagle go zobaczyła. Do sali dumnym krokiem wszedł przystojny, młody chłopak. Był wysoki, miał ciemne włosy i piękne brązowe oczy. W jednej chwili ich spojrzenia się spotkały i na obu twarzach pojawił się serdeczny uśmiech. Serce Magdy na chwilę zamarło, by potem znowu zabić. Oblał ją zimny pot i poczuła się lekko zmieszana.

– Nie zakocham się – pomyślała i szybko odwróciła głowę w drugą stronę. Postanowiła go ignorować.

KANADYJSKI SEN ANETA RZEPKA

Czerwone, ogromne słońce powolutku skrywało się za linią horyzontu. Wody jeziora Ontario odbijały jego blask i unosiły wraz z prądem. Powietrze pachniało latem i wilgocią. Spokojny, cichy, dający wytchnienie po upalnym dniu wieczór. Ludzie spacerowali po plaży. Z pobliskiego pubu dochodziła muzyka. Ktoś śpiewał przy akompaniamencie gitary.

Gabrysia i Rafał szli brzegiem jeziora. Dziewczyna miała na sobie zwiewną sukienkę, białą w różowe kwiaty. Długie, lekko kręcone, jasne włosy rozpuściła. Pozwoliła, by targał je wiatr. Chłopak był ubrany w czarny, bawełniany podkoszulek i granatowe spodnie z czerwonymi paskami na bokach. Trzymali się za ręce. Nie rozmawiali. Nic szczególnego nie wyróżniała ich spośród innych par, spacerujących tego wieczoru po plaży.

Dlaczego postanowiłem opisać właśnie ich historię? Nie wiem. Wyglądali na szczęśliwych i zakochanych. Wnikliwy obserwator dostrzegłby jednak, że były to tylko pozory. Ona ufnie położyła głowę na ramieniu chłopaka. W jej oczach zauważyłem smutek, ale usta rozciągnęły się w delikatnym uśmiechu. On patrzył przed siebie. Nie dostrzegał idącej obok dziewczyny. Myśłami był daleko.

– Jutro będę już w domu – powiedziała cicho Gabrysia.

– Wiem – odpowiedział chłopak, odsuwając się i brutalnie zrzucając z ramienia jej głowę. – Chodź, musimy już jechać na lotnisko.

Gabrysia westchnęła, zdjęła z przegubu czarną frotkę, niedbale związała włosy i podążyła w kierunku wyjścia z plaży. Nie obejrzała się nawet na idącego z tyłu Rafała. Weszła do pobliskiego pubu, zamieniła kilka słów z barmanem. Ten zniknął na zapleczu. Wrócił po chwili, dzierżąc w dłoni walizkę i małą podróżną torbę. Podał bagaż dziewczynie. Zaproponował pomoc. Podziękowała. Wzięła rzeczy i opuściła lokal. Rafał

czekał przed drzwiami. Bez słowa zapakował własność Gabrysi do bagażnika czerwonego samochodu i usiadł za kierownicą.

– Zapnij pasy – powiedział, nie patrząc na dziewczynę. Dawno przypięła się do fotela. Chłopakowi było to obojętne. Przekręcił kluczyk w stacyjce i wyjechał z parkingu.

Przez całą drogę na lotnisko w samochodzie nie padło ani jedno słowo. Później nie było już czasu na pożegnania.

HISTORIA JEDNEJ MIŁOŚCI... ANNA WALCZAK

Dedykowane tym, którzy mimo wszystko nie zwątpili...

Ta historia jest o pewnej dziewczynie. Nie znam jej, nigdy się z nią nie spotkałam, ale wiem, że gdzieś jest. Życie nie zawsze ją rozpieszczało, ale w końcu pokazało swoją dobrą stronę. Niestety nie na długo. Ona jednak nie straciła wiary, która pomogła jej pokonać przeciwności losu. Wierzyła, że jej się uda. Wierzyła, że to jednak ma sens...

Natalia obróciła się dookoła w poszukiwaniu swojej kuzynki. Ciężką było ją znaleźć, gdyż po parkiecie skakał spory tłum ludzi. Jeszcze raz rozejrzała się w około i zaczęła zmierzać w kierunku zatłoczonego parkietu. Wiedziała, że stamtąd będzie jej jeszcze trudniej dostrzec Magdę, ale chciała spróbować. Po paru minutach bezczynnego stania udało się jej ją dojrzeć. Stała gdzieś w koncie popijając jakiś sok.

– A ty co tak sama stoisz? – zapytała mierząc kuzynkę uważnym wzrokiem.

– Nie mam ochoty już tańczyć – odpowiedziała chichocząc. Widać było, że przesadziła z napojami alkoholowymi.

– Ile wypiałś?

– Nie wiem... jedno... dwa.... trzy... a może trochę więcej – mruknęła licząc na palcach spożyte butelki.

– Chodź. Usiądziesz sobie. Tam jest Maciek – powiedziała Natalia biorąc ledwo przytomną kuzynkę i ciągnąc ją w stronę stołu Maćka. Był on starszym bratem Magdy. Zresztą nie jedynym.

– Maciek... przypilnuj, żeby ona już nic nie piła. Chyba trochę przesadziła.

Chłopak przyjrzał się dziewczynie i pokiwał głową porozumiewawczo.

NIKODEM EWA JAROCKA

Miałam w liceum chłopaka. Nazywał się Nikodem. To z nim pierwszy raz uciekłam ze szkoły. Pamiętam, że siedzieliśmy wtedy u niego w domu, przesłuchiwałyśmy kasety z rokiem i zadawaliśmy sobie pierwsze ważne w życiu pytania. Wieczorami natomiast chodziliśmy do Rury w podziemiach Dworca Świebodzińskiego. Był to wtedy najbardziej trendy lokal, do którego schodzili się różni ekscentryczni ludzie. Obecnie Rura przy placu Świebodzińskim już nie ma. Kilka lat temu lokal przeniesiony został do centrum miasta. Nikodem nie ma też teraz dziewczyny. Ma żonę.

Nikodem był najpiękniejszym mężczyzną, jaki w trakcie mojej nauki chodził do VIII LO. I to nie tylko ja tak uważam. Ponadto potrafił być duszą towarzystwa. A przynajmniej brylował dowcipem w każdym towarzystwie. Wszyscy jego koledzy go naśladowali, każdy chciał być taki jak on. Gdy Nikodem chodził w czerwonych trampkach, pozostali chłopcy także, gdy kupił sobie na zimę kozuch, cała klasa 2 a nosiła takie kozuchy. Wszyscy z jego otoczenia słuchali Kultu, bo Nikodem słuchał wtenczas Kazika. Pamiętam że Nikodema bardzo to papugowanie denerwowało. Psioczył na kolegów tak, że niekiedy trudno było mi zrozumieć, że to są jeszcze jego koledzy. Może dlatego zaraz po studiach uciekł do innego miasta. I został przez nich wyzywany od pantoflarzy.

Żeby mnie poznać, Nikodem podszedł do mnie na przerwie i zapytał, czy umówię się z nim na herbatę. Ze strachu zapomnieliśmy porozumieć się co do tego, gdzie się spotkamy. Nikodem wspomniał coś jedynie o rynku. Spotkaliśmy się zatem w sobotę w okolicach sukiennic. Przez przypadek. Tak, jakbyśmy się zmówili, krążyliśmy dookoła starego ratusza, dopóki na siebie nie wpadliśmy. Nikodem przyszedł na spotkanie z kolegą, aby mu mnie „pokazać”. Gdy Krzysiek już mnie „pooglądał”, Nikodem rzekł do niego: „szkoda, że już musisz iść”. Uważałam to za kolejny szczyt osiągnięć Nikodema. Byliśmy wówczas w kawiarni znajdującej się w kamienicy Jaś i Małgosia.

Rozmawialiśmy o martensach i ludziach ze szkoły. Ale gdyby ktoś nas wtedy podsłuchał z boku, złapałby się za głowę, bo tylko dwoje zakochanych w sobie ludzi mogło na serio przeprowadzić podobny dyskurs. To było dziesięć lat temu.

NAZYWAM SIĘ ANKA MARCELA MUCHA

Nazywam się Anka. Mam 17 lat i zawsze jestem sobą. Sobą, czyli zwykłą dziewczyną jak każda inna. Mam rodziców, brata Marka i pająka Henryka. W tym roku skończyłam 1 liceum.

Był koniec czerwca. Miesięczny wyjazd do dziadków na wieś zapowiadał się świetnie. Tegoroczne wakacje przedstawiały się w kolorowych barwach.

Po dojechaniu na miejsce Beata rzuciła mi się na szyję. Zresztą nic dziwnego, w końcu nie widziałyśmy się całe 10 miesięcy. Gdy zwolniła uścisk zaczęła mówić jak nakręcona. Pytania uchodziły z niej jak powietrze z balonu. Do północy gadałyśmy w moim nowym pokoju przydzielonym przez babcię.

Kolejne parę dni spędzałyśmy nad jeziorem nadal nie mogąc się nagadać. Kuzynka opowiadała mi, jak przeżyła ten cały szkolny rok. Opowiadała niemalże każdy dzień. Dowiedziałam się, że ma nowego chłopaka, którego przypadkiem poznała w autobusie. Terkotała o nim całymi godzinami. Jaki to on jest przystojny i fajny. Z każdą minutą malały moje chęci na dalsze słuchanie o „miłości” jej życia. Z pomocą przyszło dwóch chłopaków. Gdybym na własne oczy nie widziała, jak wolnym krokiem wyłonili się z pobliskiego lasu, pomyślałabym, że naprawdę spadli mi z nieba. Gdy nas zobaczyli, wylegujące się obok rzeki, ruszyli w naszym kierunku.

– Siemka – usłyszałyśmy nagle, po czym przed nami wyrosło dwóch olbrzymich facetów zasłaniających nam równie olbrzymie słońce.

– Cześć – odpowiedziałyśmy równocześnie.

Chłopcy dosiedli się do nas przerywając nieświadomie miłosne wyznania Beaty. Widać było, że nie jest tym zachwycona. Ja natomiast odetchnęłam z ulgą.

– Jak mijają wakacje? – zapytał jeden z nich, blondyn w ciemnych okularach.

SINGLE. STARA MIŁOŚĆ NIE RDZEWIEJE. POWRÓT T.T. TURMAN

Mężczyzna po latach wraca do rodzinnego miasteczka, gdzie mieszka kobieta z którą romans doprowadził go do ruiny. Los pozwolił mu stanąć na nogi, ale wie, że jej się nie poszczęściło. Stawiając jeden warunek chce dać jej kolejną szansę. A kobieta... Wykorzystuje spotkanie i sytuacja zmierza w kierunku innym niż planował.

Tomasz nie wiedział dlaczego tam właściwie jedzie. Miał świadomość, iż takie działanie jest zupełnie pozbawione sensu. Wszystko, co tam zostawił było jedną, nie zagojoną i bolącą raną. Pchała go tam jakaś siła, której do końca nie potrafił wytłumaczyć. Dlaczego? W głębi duszy i serca wiedział – robił to dla niej. Nadal mieszkała w mieście, a on chciał to zmienić. Po co? Nie potrafił racjonalnie odpowiedzieć. Przez tą znajomość stracił rodzinę, przyjaciół i załamała się jego kariera rujnując majątek. Po burzliwym i namiętym romansie Natalia zostawiła go dla dużo starszego, ale bogatszego mężczyzny. On musiał w wieku 35 lat urządzać sobie życie od nowa. Wyjechał do innego miasta i zaczął od zera. Na szczęście nie musiał spłacać długów. Otrząsnął się i stanął na nogi. Jak mu się zdawało, bez niczyjej pomocy znalazł pracę w znanej światowej firmie o francuskich korzeniach cieszącej się ogromnym prestiżem. Co prawda ogłoszenie z gazety bezinteresownie podsunął mu kolega z liceum, ale później ich kontakty zupełnie się zerwały. Po miesiącach totalnego kryzysu Tomaszowi zaczęło się dobrze powodzić. Gdy pozwolił mu na to czas, zaczął się interesować co u Natalii. Gdy dowiedział się, że nie radzi sobie najlepiej, postanowił pomóc. Trudno było ją po tych kilku latach znaleźć, tym bardziej, że często zmieniała adresy. Wiedział, że zaraz po śmierci człowieka, dla którego go zostawiła, wdała się w głośny romans z lokalnym politykiem. Dzięki temu szybko awansowała w administracji samorządowej, została radną, zasiadała w radach nadzorczych różnych spółek z udziałem gminy i skarbu państwa, ale przede wszystkim prowadziła bogate życie towarzyskie. Znając jej temperament i fantazje domyślał się, że i życie seksualne musiało być bardzo urozmaicone. To niestety nadal go bolało. W następnych wyborach jej

ugrupowanie przegrało. Natalię wyrzucono z urzędu i w kilka tygodni straciła wszystko, co do tej pory z takim poświęceniem i mozołem budowała. Z powodu sławy jaką się okryła, nie mogła znaleźć pracy. Nawet nowa, głośna znajomość z senatorem nie pomogła – nadal pozostawała bez pracy. Chyba wtedy zrozumiała, że jej czas przeminął, jako samotna trzydziestolatka z synem w małym miasteczku nie miała żadnych perspektyw. Tomasz odnalazł ją właśnie dzięki synowi. Uczył się w tej samej podstawówce co i on przed laty. W sekretariacie udało się jemu ustalić ich aktualny adres. Okazało się, że zamieszkała w domu po swej babce. Wysłał na początek pismo z ofertą zawodowego spotkania. Odpisała. Sekretarka Tomasza umówiła ich, a on zastrzegł sobie, że Natalia przyjdzie sama bez swej nierozłącznej przyjaciółki.

EWA MIROSŁAW SZNAJDER

*...ale rzecz jest człowieka,
gdy na dziewczynę czeka
długo, długo, wciąż dłużej...
I zasłuchany w ciszę,
śmieszne imię jej pisze
zapałką na marmurze...*

- To poczekasz?
- No pewnie.
- Ale gdzie, przed wejściem?
- Może przed wejściem... gdzieś poczekam.

To ja się tylko przebiorę. I zaraz będę.

Powinienem już pędzić do szatni, a jednocześnie bałem się odejść nawet na chwilę, żeby mi nie zniknęła, żeby mi nikt jej nie uprowadził, bo już od niektórych stołów przyglądano się nam. Zapewne budziliśmy ciekawość a może i zawiść – młodziutki kelner i najatrakcyjniejsza w lokalu prostytutka, nieco ukryci za filarem.

– No idź, co się tak na mnie gapisz, ja już wychodzę – ona do mnie tym swoim niskim głosem z leciutką chrypką.

- Dobrze, postaram się najszybciej...

Trochę jednak trwało zanim znalazłem kolegę z sąsiedniego rewiru, bo akurat popijał przy stoliku orkiestry. Umówiłem się, że uporządkuje za mnie stoły, skasuje mizerne rachunki ostatnich klientów – zresztą już i tak minęła druga po północy, czyli

zbliżał się koniec działalności znanej w Warszawie nocnej restauracji z danciem w „Domu Chłopa”, czyli inaczej: w Chamie. W szatni o mało co nie pourywałem guzików w kelnerskim uniformie. Białą koszulę zostawiłem na sobie – czy ja wiem, co się mogło jeszcze zdarzyć? I biegiem przez korytarz, na ulicę, a z niej na plac Powstańców, przed hotelem. Gdzie ona? Gdzież ta moja cudna, wymarzona Ewa? Obok wejścia nie ma, przy postoju taksówek pod „Sofią” – też nie ma... ale jest, jednak jest, stała z jakimiś dwoma fagasami, właściwie nieco opędzała się od nich.

– To dokąd idziemy?

– A gdzie chcesz.

– A ty gdzie chcesz? – przekomarzając się trochę jak rozkapryszony powodzenie dzieci, powodzeniem i uznaniem we własnych oczach, ruszyliśmy w głąb ciemnej ulicy Wareckiej.

W jaki sposób się to stało, że oto szliśmy jakbyśmy nie wiadomo ile czasu się znali? Przecież do niedawna przychodziła do mojej hotelowej restauracji, a na mnie prawie nie zwracała uwagi – zwykle z innymi koleżankami albo w towarzystwie nadzianych facetów.

– Masz cipciu, coś wolnego u siebie? – bo jedynie takie pytania dotąd od niej słyszałem.

KRÓTKA HISTORIA BARTOSZ WICZKOWSKI

Na imię miał Józef. Był grubo po czterdziestce, wyglądał na pięćdziesiąt, a czuł się jak osiemdziesięcioletni starzec. Z pokorą i pogoda ducha ludzi pogodzonych z tym, że umrą znośił wszystko co mu się w życiu przytrafiało. Pomimo przedwczesnych oznak starości wciąż można było go uznać za przystojnego mężczyznę. Niektórym paniom podobała się jego surowa twarz, a pewnej osobliwej godności dodawały jej przyprószone siwizną skronie. W tej twarzy jak z kamienia tkwiły szare, oprawione w pajęczynę zmarszczek oczy. Zdawały się zawsze patrzeć odrobinę melancholijnie, obiecywały tajemnicę. Efekt ten potęgowały opadające kąciaki cienkich ust. Nadawało to twarzy Józefa wyraz wiecznego smutku i zrezygnowania.

Tymczasem Józef był najzwyczajszym, przeciętnym mężczyzną. Dla wielu wydałby się wręcz nieciekawym. Pedantyczny i z silnym poczuciem obowiązku zamienił swoje życie w serię równie rutynowych, co bezrefleksyjnych czynności. Spał, jadł, pracował, czytywał gazety, popijał kawę, wieczorem przed snem całował w czoło młodszą od siebie żonę. Nigdy nie pamiętał co mu się śniło. Zresztą nawet gdyby pamiętał, nic by to nie zmieniło.

Pracował jako niższy urzędnik w towarzystwie ubezpieczeniowym. Nigdy się nie spóźniał, często zostawał po godzinach. Jego biuro mieściło się w ciasnej i wysokiej piwniczce z jednym, niewielkim prostokątnym okienkiem na poziomie chodnika. Zawsze musiała się palić żarówka wisząca z sufitu; inaczej było za ciemno by pracować. Nie były to jedyne osobliwości tego miejsca. Jedną ścianę pomalowano żółtawą farbą, teraz pokryta pęknięciami oraz plamami odkrywała surową czerwień cegieł. Pozostałe ściany, oklejone lawendową niegdyś tapetą, teraz zdawały się łuszczyć jak chora skóra.

Na biurku stała stara maszyna do pisania. Józef był do niej bardzo przywiązany. Lubił na niej pracować i słuchać jak robi: „tyk, tyk-tyk, dzyń”. Inni pracownicy mieli do dyspozycji komputery. Tylko jego ominęła modernizacja. Nie narzekał, nie lubił klawiatury komputerowej, nie podobało mu się jej: „tap-tap-tap-pach!”. Obok maszyny do pisania leżał stos grubych ksiąg, kilka zatemperowanych ołówków, szara gumka do

mazania i telefon – równie stary co maszyna; miał tarcze zamiast guzików z cyframi. Za trzeszczącym krzesłem, pod którego nogę Józef musiał podkładać różne papierki aby się nie chwiało, aż po same okno, piętrzyły się szafki z aktami. Z rury przebiegającej pod sufitem wiecznie kapła woda. Krople spadały do szklanki ustawionej w rogu biurka, ich odgłos mieszał się z tykaniem zegara.

MIŁOŚĆ I KREW KAROLINA CISOWSKA

Opowiadanie dedykuję wszystkim, którzy pozwolili mi się kochać. Specjalne podziękowania dla Jacka, którego sen kolejny raz posłużył mi za inspirację. Proszę, znieś to, że tak często jestem niezdolna i bądź mi aniołem natchnienia już na zawsze. A... i Salomei. Posłużyła mi za wzór do stworzenia Alicji.

1.

Jam

*Kolejnym dzieckiem zdrady
Łobuzem Życia ze sznurkami w rękach
Psującym marionetki z okrutną uciechą*

*Kolejny raz we śnie
Wemknąłeś się do mnie niczym wąż
Przez mur anielskiego światła
I skradłeś mi jeden pocałunek
Tylko jeden pocałunek
By obudzić demona
Bym stała się bestią
Tańczącą na dziele zniszczenia*

Alicja... Imię to było słynne w całym miasteczku. Dziewczyna ciągnęła za sobą sławę. Chodziło o niej setki plotek, niemal każdy o niej słyszał, ale mało kto podejrzewał, że opowieści są jak najbardziej prawdziwe.

Niemalże nie było chłopca, który się w niej nie kochał choć przez krótki czas. Który by nigdy nie miał nadziei, że kiedyś coś ich połączy. Niemalże nie było chłopca, który by ze związku z nią wyszedł cały.

„Femme Fatale”, która nie była już nawet w stanie zliczyć mężczyzn, którym złamała serce, których wykorzystała i skrzywdziła. Dlaczego to robiła? Czy przynosiło jej to szczęście? Nie wyglądała ani na szczęśliwą, ani na nieszczęśliwą. Nikt nie wiedział tak naprawdę jak żyła, z kim mieszkała, kto ją utrzymywał. Jeżeli można było o kimś powiedzieć, że niczym piękna wiła wciąga mężczyzn w otchłanie rozpacz lub samą śmierć, to ona była najdoskonalszym przykładem.

Zaborcza, niszczycielska; ofiarowała wszystko, ale też żądała wszystkiego. To, jak powoli i skrupulatnie wkraczała w życie można porównać do popadania w narkomanię. Była jak słodka, niszczycielska heroina, od której nie było już powrotu. Aż do ostatniego tchnienia wypełnionego miłością.

*

Całe Królestwo Zmarłych posrebrzone było szronem. Pracowity artysta okrył nim iskrzące w gasnącym słońcu nagrobki, znicze, ławki, a nawet drzewa. W istocie, drzewa na cmentarzu są czymś wyjątkowym. Wiosną paradoksalnie nadają temu miejscu świeży powiew młodości i życia, latem kuszą dojrzałą zielenią swych liści i okrywają swym cieniem tych, którzy szukają wśród zmarłych ciszy, spokoju, lub utraconych nadziei. Jesienią... Jesienią pachną nostalgią i melancholią. Liście, które się z nich osypują są jak ludzkie życia, które prędzej czy później muszą połączyć się z matką ziemią. Zimą, gdy ogołocone zostaną z tych pozornych dusz, na tle pomarańczowego od mgły i latarni nieba wyglądają jak upiorni tańczący w ciemności i szukający utraconych dzieci bogowie. W tym momencie, kiedy iskrzyły srebrem i diamentem niczym klejnoty Dziewicy Lodów, zupełnie nie pasowały do miejsca, w którym rosły. Młoda zima i szron sprawiły, że Królestwo Zmarłych nagle musiało się poddać i jak wszystko wokół stało się Królestwem Lodu.

„Jejku...”, westchnął w myślach Sebastian nie potrafiąc z siebie wykrztusić ani słowa więcej.

Oparł się o nagrobek i zapatrzył na drzewa. Chłód nie był w stanie go dosięgnąć, mróz wprawiał go jedynie w zachwyt. Nie mógł wręcz odnaleźć słów na jego wyrażenie.

BAJKA O NIEJ MARTYNA PUC

Był maj. W powietrzu unosił się słodki zapach nagrzanym słońcem liści i czarnego bzu. Wszystko pachniało. Pierwszy miesiąc prawdziwej wiosny. Po ulicach i w parkach roilo się od zakochanych par.

Niebo z każdym dniem jaśniejsze napawało optymizmem. Po zimie nadszedł czas przebudzenia. Otworzyły się srebrne wrota nowych perspektyw i możliwości. Drzewa kwitły najpiękniejszymi kwiatami. Z czasem jednak płatki delikatnych pączków opadały, tworząc suchy deszcz każdego marzyciela. Natura zatoczyła krąg i wszystko znów zaczęło się od nowa. Milion danych szans. Zima i tak kiedyś nadejdzie.

To było najpiękniejsze miejsce jakie znałem, jedyne w którym byłem. Zakątek gdzie łąka w cudowny sposób łączyła się lasem. Płaczące wierzby i brzozy tuż obok małego potoku były jak jeden organizm, połączony aortą życia. Żyliśmy tu sami, w spokoju. Każdego roku umierając i rodząc się na nowo. Nikt z ludzi nie zapuszczał się w ten zakątek, nikt go nigdy nie odnalazł. Do czasu, kiedy pojawiła się ona... Przychodziła bezszelestnie, że nawet my drzewa, nie byłyśmy w stanie wyczuć jej stąpania.

Siedziała samotnie i wsłuchiwała się w szum liści i śpiew ptaków. Była bardzo ładna. Długie jasne włosy sięgały niemal jej lędźwi. Ubrana zawsze w ten sam sweter, siadała na trawie podkulając pod siebie nogi. Nigdy nic nie mówiła. Tylko wpatrywała się w otaczającą ją głuszę. Przez te godziny milczenia czułem, że chciała stać się powietrzem. Rozprościć na miliony części i nie istnieć. Cierpiała, każdego dnia coraz bardziej.

Pewnego gorącego poranka, przyszła po raz ostatni. Usiadła na miękkiej trawie i zamknęła oczy. Trwała tak kilka minut. Wszyscy zastygliśmy w milczeniu. Wiatr przestał wiać. Dziwna aura rozeszła się po naszej polanie. Cisza...

CO MOŻNA ZOBACZYĆ W ŚRODKU? KRZYSZTOF RAJDA

Kondukt podążał w dół drogi, ponuro maszerując ku cmentarzowi. Paskudna była pogoda owego dnia – chłód przenikał serca i ciała żałobników, rzęsisty deszcz suto kropił okolicę, z gęstych, czarnych chmur padając wprost na trumnę, niesioną przez w czerń odzianych grabarzy. Wokół panowała kompletna cisza – żaden ptak nie rozweselił dnia swoim śpiewem, nikt nie odezwał się. Słyszać było tylko deszcz – w nim zniknęło wszystko i w jedno się zlało, a wszystkim się zdało, że nawet deszczu nie ma, że cisza panuje. Jedynie odziany w czarne szaty, maszerujący na czele pochodu zakonnik pomrukiwał pod nosem pobożne pieśni.

Szli więc ku cmentarzowi błotnistą drogą, rozchlapując glinę na siebie i towarzyszy tak, że wnet i trumna umazana była brązową mazią. Co krok któryś z grabarzy potykał się o podłoże, ledwo utrzymując niesiony ciężar. „Zły znak – mruzcili do siebie po cichu – nie chce dusza do raju”.

Jakoż i nie chciała. Jeszcze wczoraj wesoło wędrował człowiek tą samą drogą, która mijając cmentarz dalej wiła się ku rzece. Jeszcze wczoraj radośnie chlapał się w rzeki ciepłych wodach, korzystając z lipcowych, gorących dni. Jeszcze wczoraj pełen życia i ochoty oglądał nad tą rzeką zachód słońca, z ukochaną kobietką opartą o jego ramię.

Lecz to wczoraj też znaleziono go martwym, gdy leżał rozciągnięty pod cmentarnym murem. „Co się stało?!”, pytali. Wypadek? Zabójstwo? Nikt nie znalazł odpowiedzi. Teraz już nieważne. Teraz spoczywał w sosnowej trumnie – pozbawiony krwi, z martwym sercem i zimnym ciałem.

Lecz oni nie widzieli – ciało martwe, pierś już ustała, oczy na wieki zawarły się. Trumna powoli zagłębiała się w ziemi. I nagle – centymetry od dna – lina pękła, trumna spadła, wieko odchyliło się. Nikt jednak tego nie usłyszał, nie zobaczył, poza grabarzami, którzy zbyt zmarznięci byli, by zejść na dno, poprawić wieko. Zakopali grób rozmokłą

ziemią i czym prędzej udali się do karczmy, by rozgrzać zziębnięte ciało przednim miodem pitnym, serwowanym w tej wiosce.

Serce ustało, pierś już lodowata,
Ścięły się usta i oczy zawarły;
Na świecie jeszcze, lecz już nie dla świata!
Cóż to za człowiek? – Umarły.
Pierś znowu tchnęła, lecz pierś lodowata,
Usta i oczy stanęły otworem,
Na świecie znowu, ale nie dla świata;
Czymże ten człowiek? – Upiorem.¹

¹ W opowiadaniu wykorzystałem fragment ballady Adama Mickiewicza „Upiór”

CIOTKA ALBINA DARIUSZ ECKERT

Ciotka Albina była powiedzmy, bardzo w latach. Drobna zasuszonej staruszką zawsze w kapeluszu, tiulach i koronkowych rękawiczkach, od jakichś dwudziestu lat z elegancką laską o srebrnej ręczce. I miała świata za złe. Twierdziła, że bezwzględnie schodzi na psy. Co by nie porównała – nie wytrzymało zderzenia z latami młodości, czy nawet dojrzałej ciotki Albiny. Owszem można szybciej, więcej, bardziej, ale to tylko stopniowanie tego, co jest. A skoro jest głównie (ciotka lubiła mocne określenia) to ją głównie szybciej, więcej i bardziej nie interesuje. Sporadycznie przeczytana gazeta czy program w TV tylko utwierdziły ją w tym przekonaniu. To już wołała swoje albumy i płyty. Romantyzm przefiltrowany przez czas.

Ciotka Albina mieszkała sama. Właściwie gdyby nie liczyć wielu burzliwych związków (zawsze ku zgorszeniu świata i miasteczka nieformalnych) to zawsze była sama. Tak też było do dziś. Nie dla wszystkich była ciotką. Rodzina (a jakże, miała rodzinę – jej siostry i bracia mieli liczne, mniej lub bardziej udane familie) do pewnego czasu z poczucia obowiązku, wspólnoty a i z pewną dozą sympatii zapraszali ją na wszelkie możliwe święta. Biorąc pod uwagę, że dorastało już trzecie pokolenie, a rodzina spora – okazji było bez liku. Z czasem jednak ciotka Albina patrząc na swoich najbliższych, stwierdziła, że nie odstają od reszty świata. Żadnej fantazji, polotu, ani szczypty szaleństwa: wszystko przyciśnięte ciężkim kamieniem codziennych obowiązków. Pogonią za pieniędzmi i karierą. „I dziwię się później tacy, – obruszała się ciotka – że chłop pije, albo baba zgryźliwa i nie do życia”. Oczywiście nie dane jej było spróbować wszystkich tych wspaniałych chwil, chwil szczęścia rodzinnego – macierzyństwa, dorastających dzieci, wnuków itd. Sama to podświadomie czuła, ale wiadomo – coś za coś. Jednak odczuwała do nich nie uzasadnioną urazę. Jeśli już przyszła to siedziała chmurna i niedostępna kwasząc atmosferę. Wygłaszała mniej lub bardziej celne złośliwości, aż stała się nie do zniesienia. Czasem jeszcze ktoś przypominał sobie o jej istnieniu i próbował zaprosić, ale ku zadowoleniu wszystkich –

odmawiała. Z czasem nawet przestała otwierać. Nawtykała tylko przez zamknięte drzwi, aż się każdemu odechciewało zaproszeń.

Tak jak burmistrzowi miasteczka, który czy to dla zaistnienia w miejscowej gazecie, czy to (nie odmawiajmy w końcu urzędnikom ludzkich uczuć) powodowany potrzebą uszanowania przyszedł złożyć życzenia ciotce Albinie z powodu... setnych urodzin! „Paradne! Jakich setnych?! A idźcie wy do wszystkich diabłów!!” Wszystkiego się spodziewał nieszczęsny burmistrz, z naręczem kwiatów i świtą z zastępcy i sekretarki (i fotografa), ale nie tego, że go jubilatka zbluzga i mało ze schodów nie strąci....

OPOWIADANIE WIGILIJNE PIOTR BULAK

Historię tę usłyszałem w pociągu. Kilkanaście lat temu. Było to w Wigilię. Wsiadając byłem już po kolacji rodzinnej, on zaś wyglądał jakby jechał z daleka. Starszy, zasuszony, samotny pan w pustym przedziale. Przysiadłem się do niego. Jechaliśmy właśnie przez jakieś straszne, ciemne pustkowia. Za oknem rozpościerał się księżycowy krajobraz. Wyobraziłem sobie nasz pociąg z góry. Taki promyk światła przecinający bezkresną ciemność. I może z wdzięczności, za to rozbitcie jego samotności, w ten mroźny wigilijski wieczór, staruszek podzielił się ze mną swoim sekretem – historią, której, jak mówił, jeszcze nigdy nikomu nie opowiadał.

Mówił, że od kiedy pamięta był tak zwanym strasznym łobuzem. Należał do podwórkowej paczki łobuzów. Kradli w sklepach, malowali mury, wybijali szyby. Potem stworzyli bandę kieszonkowców.

Wtedy to odruchowo chwyciłem za portfel – ale staruszek uspokoił mnie. Powiedział, że historia, którą mi opowie odmieniła jego życie.

Czterech szesnastoletnich łepków kroili eleganckich ludzi w autobusach i tramwajach. Ich role były ściśle podzielone. Jeden kradł, drugi go asekurował i podawał portfel trzeciemu. Ten go opróżniał i wyrzucał na ziemię. Czwarty był zawsze najlepiej ubrany i w razie awantury próbował łagodzić spór. On był ten trzeci. Największe żniwa mieli właśnie w czasie świąt Bożego Narodzenia – kiedy to wszyscy tłoczyli się i przepychali i nie zwracali w ogóle uwagi na swoje portfele. Był chyba trochę zdemoralizowany, bo jak mówił nawet mu nie było żal tych frajerów. Tego dnia była Wigilia. Robiła się szarówka i ludzie wracali już do domów. To był ich ostatni kurs. Wszyscy trzymali torebki przy sobie – tylko jedna babcia na nic nie zwracała uwagi. Była rozkojarzona. Głowę miała w obłokach. Szef ich paczki, pewnym ruchem wyłuskał portfel babci. Podał drugiemu – ten zaś jemu. Szybko go otworzył – jednak w środku nie było żadnych pieniędzy. Zaczął grzebać po kieszonkach i odruchowo wyczuł, że są tam

jakieś papiery. Nie wiedział, czy to pieniądze, czy nie i dlatego postanowił sprawdzić to potem dokładnie. Postąpił wbrew złodziejskim zasadom. Schował portfel. Wyszli na przystanku. Szef zażądał kasy. Jak zobaczył portfel, uderzył go w głowę. Zbeształ. Oskarżył o brak profesjonalizmu. Powiedział, że nigdy nie potrafi zrobić na nim wrażenia. Szybko przejrzał portfel i widząc, że nie ma tam żadnej kasy wyrzucił go do śmietnika. Zaczynało zmierzchać. Poczuł, że zrobiło się naprawdę mroźno. Rozeszli się do domów na wieczerze wigilijne. Spotkać się mieli na pasterce. Kiedy szedł do domu zobaczył pierwszą gwiazdkę. Wtedy też coś go ukłuło. Ten wyrzucony portfel staruszki był jakąś taką zadrą, która nie dawała mu spokoju. Przecież tam był jej dowód osobisty. A jak nie będzie mogła odebrać renty styczniowej. Myśli kłębiły mu się w głowie. Niespokojnie kręcił się na wieczerzy wigilijnej. Jak tylko się skończyła wyszedł z domu odszukać ten kosz.

NIE TO, CO JA CHCĘ... O. WOJCIECH KOBYLIŃSKI CMF

Uwiodłeś mnie, Panie,

a ja dałem się uwieść

Skarga Jeremiasza (Jr 20, 7).

Jakiś czas temu poznałem cudowną dziewczynę. Nigdy dotąd nie spotkałem istoty równie pięknej jak ona. Złote pukle jej włosów opadają kaskadą na łabędzią szyję. Oczy, zielone niczym szmaragdy, lśnią jak gwiazdy.